

JULIA ROTT-URBAŃSKA

Szopienice – kraina ołowiem płynąca

Recenzja książki Magdaleny Majcher

*Doktórka od familoków*Majcher, M. (2023). *Doktórka od familoków*. WAB (ss. 288)

Zmarła w czerwcu 2023 roku doktor Jolanta Wadowska-Król to postać, której mieszkańcom Górnego Śląska, a zwłaszcza Katowic, nie trzeba przedstawiać. I nic w tym dziwnego, bo ktoś, kto w latach 70. ubiegłego wieku w pobliżu Huty Szopienice prowadził na szeroką skalę badania dotyczące zachorowalności tamtejszych dzieci na ołowicę, w dodatku narażając się przez to ówczesnym władzom, zasługuje na szczególną uwagę. To dzięki niej najmłodszy mieszkańcy Szopienic otrzymali szansę na leczenie, a domy znajdujące się w bezpośrednim pobliżu wspomnianej huty rozebrano, zapewniając przy tym mieszkającym tam rodzinom lokale zastępcze. Osoby, którym los lokalnej społeczności nie był i nie jest obojętny, z pewnością zasługują na upamiętnienie. Tak też rzecz ma się w przypadku Wadowskiej-Król – dwa lata po jej przejściu na emeryturę, czyli w 2013 roku, na łamach „Gazety Wyborczej” ukazał się reportaż autorstwa Judyty Watoły i Anny Malinowskiej, noszący tytuł *Ołowiane dzieci człapią jak bociany*, co niejako zapoczątkowało proces uhonorowania tej niezwyklej lekarki w należyły jej sposób. Jolanta Wadowska-Król między innymi otrzymała odznakę honorową „Za Zasługi dla Ochrony Praw Człowieka” (2015 rok), tytuł „Honorowego Obywatela Miasta Katowice” (2017 rok), Nagrodę im. Wojciecha Korfantego (2018 rok) czy wreszcie tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego (2021 rok). Tytuły i odznaczenia nie są jednak jedynymi formami upamiętnienia wybitnych postaci. Podziw dla takich osób można również wyrazić poprzez sztukę, czego dowodem jest odsłonięty w 2018 roku przy ul. Gliwickiej 58 w Katowicach mural z podobizną Wadowskiej-Król, autorstwa Andrzeja Wieteski. Katowicka lekarka jest też bohaterką filmu pod tytułem *Matka Boska szopienicka*, który powstał z inicjatywy jej wnuczki, Małgorzaty Król, w ramach jednego ze szkolnych projektów, a także spektaklu tanecznego o tym samym tytule w reżyserii Agnieszki Cygan, *nota bene* również wnuczki pani Jolanty. Co ciekawe, historia ta znalazła też miejsce na kartach literatury – najpierw w powieści *Moja Ołowianko, klęknij na kolanko* autorstwa Marty Fox, a w marcu tego roku w książce *Doktórka od familoków* pióra Magdaleny Majcher.

Autorka drugiej z wymienionych pozycji urodziła się w 1990 roku w Czeladzi i od 2016 roku, kiedy zadebiutowała, udało jej się wydać już ponad 20 książek. Jej powieści fabularyzowane cechują rozbudowane tło społeczne i skupienie uwagi na problemach współczesnych kobiet, co da się odczuć również podczas lektury *Doktórki od familoków*. Książka ta nie jest również pierwszą z opowieści opartych na prawdziwych historiach, a tym Majcher w dużej mierze zawdzięcza swoją popu-

larność. Są to przede wszystkim *Mocna więź* (2021 rok), *Małe zbrodnie* (2022 rok) czy *Finalistka* (2022 rok). Historia Wadowskiej-Król i dzieci chorujących na ołowicę wydała jej się tak ciekawa, że postanowiła zawiesić wszystkie swoje dotychczasowe zobowiązania, aby ją opisać. A zrobiła to w przystępny dla czytelnika sposób, znajdując miejsce dla tych, których problem ten dotknął bezpośrednio, nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że powieść została napisana w pośpiechu, na co wskazują pewne mankamenty, o czym niżej.

Sama okładka książki została przygotowana w ciekawy sposób, a na pewno przyciąga wzrok ze względu na intensywny pomarańczowy kolor. Na samym środku umieszczono sylwetkę Wadowskiej-Król, za którą rozciąga się osiedle robotnicze, będące miejscem akcji, zaś w tle majaczy niechlubna huta, z której do atmosfery trafiał skażony opar. Te familoki na tle huty towarzyszą zresztą czytelnikowi przez cały czas, bo widać je na małym obrazku umieszczonym na początku każdego z rozdziałów powieści. Należy przyznać, że układ graficzny znakomicie nawiązuje do tego, o czym książka opowiada.

Historia przedstawiona w *Doktorce od familoków* została opowiedziana z dwóch perspektyw – Wadowskiej-Król, czyli postaci rzeczywistej, oraz Heleny Kościelniak, postaci fikcyjnej, będącej przedstawicielką lokalnej społeczności (autorka zdecydowała się na taki zabieg, ponieważ żadna z rodzin zmagających się wówczas z problemem ołowicy nie zgodziła się na ujawnienie swoich prawdziwych danych osobowych). Warto w tym miejscu wspomnieć, że nie jest to powieść biograficzna, co mógłby sugerować tytuł, a autorka, jak sama zaznacza w swoich wypowiedziach, jest powieściopisarką i nie specjalizuje się w pisaniu reportażu. Nie jest to zatem książka dla kogoś, kto chciałby pogłębić wiedzę na temat Wadowskiej-Król, a raczej dla osób, które chcą poznać jej historię w formie beletrystycznej, przy czym historia ta nie stanowi głównego wątku powieści. Informacje o lekarce są raczej uproszczone i głównie dotyczą jej badań, które za sprawą ówczesnej konsultantki wojewódzkiej w dziedzinie pediatrii, prof. Bożeny Hager-Małeckiej, rozpoczęła w 1974 roku. Pomagała jej w tym pielęgniarka Wiesława Wilczek, która roznosiła rodzinom wezwania na badania dla dzieci. Zdecydowanie więcej miejsca autorka poświęciła jednak problemom kobiet żyjących w tamtych czasach i chyba właśnie dlatego to Helena Kościelniak stanowi najjaśniejszy punkt całej powieści.

Jest to postać zdecydowanie bardziej złożona i – o dziwo – bliższa rzeczywistości. Helenę, żonę Stanisława, pracownika Huty Metali Nieżelaznych Szopienice, oraz matkę pięciorga dzieci, poznajemy w momencie, w którym podejrzewa, że znów zaszła w ciążę. Jest kobietą niepracującą, a do jej obowiązków, jak większości kobiet zamieszkujących tę dzielnicę Katowic, należy zajmowanie się domem, przygotowywanie posiłków i opieka nad dziećmi. Trzeba przyznać, że Majcher tę rzeczywistość w wymiarze środowiskowym nakreśliła bardzo szczegółowo i realistycznie, pisząc między innymi o spotkaniach z sąsiadką „podczas rozwieszania prania na sznurach w wąskich przejściach pomiędzy familokami” oraz o tym, jakie piętno odcisnęły na niej kolejne doświadczenia: „Tak, Helena była kiedyś piękną dziewczyną, zanim ciężka fizyczna praca, tłusta kuchnia i kolejne ciążę i porody nie zamieniły jej w zniszczoną życiem wielką śląską babę”. Z obrazem tym może z pewnością utożsamić się niejedna kobieta, której przyszło żyć w Polsce lat 70., bo wówczas rozgrywa się akcja powieści, i to niezależnie od miejsca zamieszkania. Wykonywana przez męża ciężka praca fizyczna niejednokrotnie była w stanie zapewnić przetrwanie całej rodzinie.

Jak to ujęła autorka, „ot, byle przetrwać od pierwszego do pierwszego i żeby dzieci nie kładły się spać z pustymi brzuchami. I żeby zdrowie było, bo jak jest zdrowie, wszystko inne jakoś się układa”. Helena akceptuje swoją rolę jako matki i gospodyni domowej, zdając sobie jednocześnie sprawę z tego, że to Stanisław jest odpowiedzialny za wyżywienie swojej rodziny. Początkowo przymyka nawet oko na jego romanse, widząc w tym ucieczkę od swojego „małżeńskiego obowiązku”. Ciekawa jest również wizja Kościelniakowej jako matki. Na kartach powieści wyraźnie padają słowa, że nie kocha swoich dzieci jednakowo, a „podobna do niej Iwonka była jej pupilką”, należy jednak zwrócić uwagę, że w przypadku ich choroby zachowała się najlepiej, jak tylko mogła. Czytelnik jest w stanie dostrzec transformację Heleny, która w obliczu realnego zagrożenia dla swojej rodziny potrafi wyjść z roli potulnej żony, znoszącej nałogi męża i przemoc domową, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że nie da się dłużej tak traktować. To bardzo cenny element, pokazujący, że każda kobieta, która w małżeństwie nie ma zbyt wiele do powiedzenia, w krytycznym momencie potrafi zdobyć się na odwagę i bronić swojej godności. Przykładów potwierdzających fakt, że Helena jest znakomicie wykreowaną postacią kobiecą, można wymieniać bardzo wiele, są jeszcze jednak dwa aspekty, którym warto poświęcić kilka słów. Pierwszym z nich jest toksyczna relacja, jaką Kościelniakowa ma ze swoją matką, która nigdy do końca nie zaakceptowała jej męża i nie pochwalała żadnego z jej życiowych wyborów. Drugim jest rywalizacja Heleny z najmłodszą siostrą, Jadźką, która wychodząc za mąż za sztygara, wiodła o wiele lepsze życie. Swego rodzaju zazdrość sprawiła, że relacje pomiędzy siostrami się pogorszyły, a starsza Kościelniakowa postanowiła ograniczyć z nią kontakty. Helena jest postacią, obok której nie sposób przejść obojętnie, ale nic w tym dziwnego. Wyraziste kreacje kobiece to bardzo mocny atut warsztatu pisarskiego autorki książki.

Na uwagę zasługuje również bardzo realistyczne przedstawienie samych Szopienic, które „nieustannie były przykryte gęstą chmurą, jednak nie taką powstałą z pary wodnej”. Widać, że w ten element świata przedstawionego Majcher włożyła mnóstwo pracy i dość skrupulatnie opisała tę dzielnicę Katowic lat 70. ubiegłego wieku, podając przy tym obowiązujące wówczas nazwy ulic z uwzględnieniem ich współczesnych odpowiedników w przypisach. Zabieg ten ułatwia nawigację czytelnikom, których w tamtych czasach nie było jeszcze na świecie, bądź którzy ze Śląskiem i Szopienicami nie mają wiele wspólnego. Wśród materiałów graficznych, jakie można znaleźć na końcu książki, znajduje się nawet plan z przełomu lat 1961/1962, na którym uwzględniono osiedle robotnicze, będące głównym miejscem akcji, oraz wspomnianą już hutę ołowiu. To za zobrazowanie osiedla autorce należy się szczególne uznanie, ponieważ czytając poszczególne opisy, czytelnik z łatwością jest w stanie wyobrazić sobie stojące tam familoki i za pomocą odrobiny wyobraźni przenieść się w to miejsce. Majcher uwzględniła również wszelkie trudności i przekleństwa, z jakimi zmagali się – i z niektórymi być może zmagają się do dzisiaj – mieszkańcy tego typu obiektów mieszkalnych. Dzięki Helenie, czytelnik dowiaduje się między innymi, że „wilgoć była jednym z największych problemów w starych familokach, choć bardziej doskwierał im brak bieżącej wody w mieszkaniu. O takich luksusach jak łazienka czy gaz nawet nie śmiała marzyć”. Pojawiają się również opisy bawiących się na zewnątrz dzieci, które grając w piłkę, za bramkę najczęściej wybierały wąskie przejścia pomiędzy budynkami. Miejsce znalazło się też dla sznura na pranie, przy którym gospodynie domowe najczęściej spotykały się ze sobą, żeby wy-

mienić te najbardziej istotne informacje bądź plotki. Jeśli chodzi o same mieszkania, to Majcher nie szczędziła miejsca dla opisu podstawowego wyposażenia, np. pieców kaflowych, wersalek czy kredensów. Takich przykładów jest dużo więcej, a każdy z nich jest bardzo bliski rzeczywistości.

Rzeczywisty jest również obraz mieszkających tam osób. Na kartach powieści szopieniczanie zostali przedstawieni jako społeczność zamknięta i głęboko przywiązana do miejsca swego zamieszkania, niejednokrotnie od wielu pokoleń. To „zakorzenie” w ostateczności sprawiło, że „wychowywani w tych warunkach rodzice sprowadzali na świat dzieci takie same jak oni sami. Słabe, chorowite, pozbawione perspektyw, naznaczone już w dniu narodzin”. Sam mąż Heleny „wychował się w Szopienicach, tak jak jego rodzice i dziadkowie. Na hucie pracowali jego ojciec i dziadek, więc i on po podstawówce poszedł do hutniczej szkoły zawodowej, którą prowadziła huta”. To dobitnie pokazuje, że dla większości mieszkańców Szopienic owa huta była jedyną perspektywą. Szkołę w tym, że z jednej strony ich żywiła, a z drugiej była odpowiedzialna za wątłe zdrowie ich dzieci. Szopieniczanie byli uzależnieni od swojej żywicielki do tego stopnia, że nawet przywykli do wszechobecnego ołowiu: „A ołów? My tu całe życie mieszkamy i jak widać, mamy się dobrze”. Majcher poświęciła też odrobinę miejsca problemom innym niż sama ołowica. Prawie wszystkie kobiety, tak jak Helena, były zależne od swoich mężów, a większość rodzin była wielodzietna. Częstym problem było również panujące uzależnienie od alkoholu, prowadzące do przemocy domowej:

Stasiek właściwie nie był wyjątkiem. Piły całe Szopienice, bo co tu innego było do roboty? Helena wiedziała, że każdy mężczyzna czasem musi się napić, i nie miałyby nic przeciwko, gdyby, no właśnie, gdyby nie te głośne awantury, które Stasiek urządzał po wódce. I gdyby nie pił tak po prostu, dla zabicia czasu, a choćby z jakiejś okazji.

Należy jednak zaznaczyć, że opis ten nie pokazuje społeczności Szopienic jako osób naznaczonych swoimi nieudanymi wyborami. Są to ludzie zmagający się z przytłaczającą rzeczywistością. Jak twierdzi Kościelniakowa, „w tym miejscu mogli przetrwać tylko ludzie o najmocniejszych charakterach”.

Pomimo tego wszystkiego, czegoś szopieniczantom brakuje, a mianowicie śląskiego dialektu. Choć autorka w wywiadach wyraźnie podkreślała, że zamysł ten był celowy, bo książka miała być przystępna dla czytelników w całej Polsce, to zdecydowała się na taki zabieg, który poszczególnym wypowiedziom odbiera wszelkie znamiona realizmu. W dialogach można owszem znaleźć pojedyncze zwroty, ale w całej kompozycji zdaniowej nie brzmią one naturalnie, a są raczej wymuszone i sztuczne: „Pani Kościelniakowa, szuka pani swoich bajtli?”. Brakuje też w tym wszystkim konsekwencji, bo w wypowiedziach tych samych osób raz pojawiają się np. *bajtle*, a kilka stron dalej już *dzieci*. Jednolity jest jedynie zwrot *doktórka*, ale to chyba wynika z tego, że wyraz ten został również w tej formie zawarty w tytule. Pozostając przy mankamentach, dialogi w powieści nie imponują nie tylko ze względu na brak odpowiedniej, jednolitej stylizacji. Wydają się odrobinę spłycone, lekko niepasujące do opisywanych realiów, a niejednokrotnie również nieadekwatne dla danej społeczności. Z pewnością w powieści brakuje krótkich i dynamicznych wymian zdań, które w pełni oddałyby emocje, o których autorka pisze w przypadku

poszczególnych postaci. Szopieniczanie nawet w rozmowach między sobą sięgają po dość rozbudowane konstrukcje składniowe, przez co brzmią bardzo formalnie:

– Nie mieści mi się w głowie, żeby huta truła ludzi, na pewno nie świadomie. To taki opiekuńczy zakład – wtrąciła Helena. – Pracownicy dostają posiłki regeneracyjne, mleko, warzywa, mamy jedne z najwyższych kartek na mięso i wędlinę, ośrodki wczasowe, a dzieci jeżdżą na kolonie.

Mieszkańcy najpewniej nie dowierzali, że huta jest odpowiedzialna za tragedię wielu rodzin, ale wypowiedzi, takie jak ta powyżej, bardziej przypominają PRL-owskie slogany propagandowe niż dyskusję sąsiadek nad garnkiem zupy w szopienickim familoku. Poza tym wielu wypowiedziom brakuje zaciętości, bo nawet w obliczu zagrożenia życia swoich dzieci i wzmożonej irytacji postacie stronią od dosadnego słownictwa, nie mówiąc już o zwrotach niecenzuralnych. Jest to kwestia indywidualna, nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że książka jak na obowiązujące trendy pisarskie została napisana wręcz zbyt grzecznie, a traktuje przecież o temacie, który wstrząsnął całym regionem i niejedną rodzinę z pewnością doprowadził do szaleństwa. Obecnie autorzy powieści społeczno-obyczajowych raczej nie boją się sięgać po zdecydowanie ostrzejsze słownictwo w wypowiedziach wykreowanych przez siebie postaci, czyniąc je tym samym bardziej realnymi i bliższymi czytelnikowi. Bohaterowie w *Doktorce od familoków* zdają się recytować swoje kwestie, przez co nie zawsze brzmią one wiarygodnie i adekwatnie do sytuacji bądź danej grupy społecznej.

W niektórych miejscach widać również powtórzenia, sugerujące nadmierny pośpiech w procesie tworzenia powieści. Nie chodzi tutaj o brak stosowania synonimów czy inne mankamenty językowe, bo w tej kwestii nie można autorce niczego zarzucić, ale o motywy, a czasem nawet całe frazy, które na kartach powieści są powtarzane jak mantra. Niemal w każdym rozdziale napisanym z perspektywy Wadowskiej-Król pojawia się stwierdzenie, że to dobro dzieci stawia na pierwszym miejscu i „poświęca się słusznej sprawie”. Są to tego typu dopowiedzenia, których można było uniknąć, bo czytelnik z łatwością może to wszystko wywnioskować z poprzedzających je zdań.

Wszystkie te zarzuty nie sprawiają jednak, że *Doktorka od familoków* jest powieścią, której nie warto poświęcić czasu. Jako całość, nakreślona przez Magdaleny Majcher historia Jolanty Wadowskiej-Król i szopienickich rodzin zmagających się z problemem ołowicy jest bardzo przystępna w odbiorze i może stanowić punkt wyjściowy do dalszych dociekań w tej kwestii. Książka przez cały czas trzyma w napięciu i czyta się ją szybko oraz, co najważniejsze, dość dobrze. Jest to ważny społecznie temat, o którym należy mówić w przestrzeni publicznej, a jednocześnie bardzo trudny dla miejscowej społeczności i za to autorce należą się więc słowa uznania. Książka spełnia swoją rolę jako powieść popularna. Bardzo dobrze, że ukazała się jeszcze za życia samej „doktorki”, a ona sama mogła się z nią zapoznać. Postacie takie jak Wadowska-Król z pewnością zasługują na ogromne uznanie, a historię „ołowików” powinno się powtarzać w przestrzeni publicznej – i w tym *Doktorka od familoków* sprawdza się znakomicie.